# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

W Królestwie i Ces. 4 r. rocznie, w Galicyi 10 koron.

Adres redakcyi i administracyi: Warszawa—Al. Jerozolimska, 49. Kraków — Zyblikiewicza, 8.

№ 4, z dnia 23 stycznia 1909 r.

Eliza Orzeszkowa.

## BÓG WIE KTO.

(rok 1863).

Nie przez aklamacyę, bo nie jednomyślnie wniosek przyjęty został; Klemunia, Stefunia, hrabina i jeszcze któraś z miejsca się nie ruszyły, ale pięć poszło.

Aby do przedpokoju dojść, trzeba było przez dwa duże i dwa mniejsze pokoje przejść. Szłyśmy. Pochód otwierała Wincusia, nożyce przez roztargnienie wciąż w ręku trzymająca, potem dwoma parami Oktunia z Tosią i ja z Inką, a za nami w ariergardzie dybała na długich swych nogach Czernisia, czarną, długą kresę przesuwając po obrazach i zwierciadłach, u ścian zawieszonych.

Zbitą gromadką skupiłyśmy się w przedpokoju dokoła wieszadeł, na których,—o Boże miłosierny! — futro pana Burakiewicza z baranków siwych... takie śliczne...

Ciche wykrzyki i głośne westchnienia. Żeby to którego ze znajomych panów własność była! Możebyśmy wyprosiły, wypłakały... na klęczki choćby paść... Ale to nieznajomy jegomość, Bóg wie kto... skąpiec też pewnie, ani myśleć o proszeniu... Myśmy wprawdzie wszystkie a wszystkie swoje suknie i inne ubiory jedwabne oddały... ale to co innego... kobietyśmy! A panów wogóle o cokolwiek prosić, to probować kamienie gryźć... zwłaszcza jeszcze takiego... Bóg wie kogo!

Gdy tak biedujemy i lamentujemy, główka Marylki Jaroszyńskiej z za ramion naszych się wysuwa... Nie wiedzieć zkąd się wzięła, bo z nami tu nie szła i później zapewne cichutko się wsunęła, a teraz aż loczki jej nad czołem od energii trzęsą się i ręce szeroko się rozkładają, gdy ogromnie rezolutnie mówi.

— Jabym jednę połę ucięła — i już!

Skamieniałyśmy, zamarłyśmy z przerażenia, którem propozycya ta nas przejęła, ale potem wskrzesłyśmy i poczęły zamieniać z sobą słowa cichutkie, szybkie, spojrzenia porozumiewawcze, palące... Aż przyszła sekunda, tak, na zegarze czasu zadzwoniła sekunda (jeżeli wogóle zegar jakikolwiek sekundy wydzwania), w której kilka ust jednogłośnie i z determinacyą, jak śmierć stanowczą, wyszeptało.

— Wincusiu! odkrój połę!

Wezwana, cała w błyskawicach swoich stalowych ozdób i w ognistych wypiekach, które na policzki jej wystąpiły, jak jastrząb jaskółkę, jak chart zająca, jak podobno szatan duszę potępioną, futro p. Burakiewicza porwała i już je na stole przedpokojowym rozłożyła, gdy nagle zawahała się...

— Jakże to? tak z wierzchem, z watą, z podszewką razem ciąć?...

Do Czernickiej się zwróciła.

— Czernisiu, poradź! Sama odkrój! Ty to porządnie przynajmniej zrobisz!

Sztuka byłaby u cudzego futra połę uciąć—porządnie! Więc też Czernisia obu rękoma za głowę się schwyciła.

— Święty Boże, święty mocny! Jabym miała cudze futro... i jeszcze u takiego... Onby mię potem, spotkawszy, wyłajał, albo i wybił... I paniom też nie radzę.— Tylko—że rzeczywiście potrzebne, nie dla kogoś jednego, ale dla szczęśliwości publicznej potrzebne...

Otóż to! Dla szczęśliwości publicznej! W tem rzecz! I jej samej, Czernisi, mimo protestu, oczy, na futro p. Burakiewicza patrząc, jak czarne żużełki, błyszczą.

Stawi jednak opór namiętnościom i z obu rękoma, ku głowie podniesionemi, po wiele razy wyszeptując: Święty Boże! Święty mocny! A niech mnie Anieli Stróżowie strzegą i bronią — szerokiemi krokami z przedpokoju umyka i przez długi wylot innych pokojów kresą długą i czarną ku pokojowi różowemu szybko sunie.

A Wincusia z nożycami nad rozłożonem futrem, jak dziób głodnego ptaka, rozwartemi, rozpaczliwie woła.

— Marylko! pójdź, odkrój! Wprawniejsza... Gdzież Marylka... Ehe! Już jej ani śladu w pobliżu naszem nie było. Zemknęła. Radzić i kusić, to radziła i kusiła, ale kiedy do czynu przyszło, znikła. Tak, jak Czernicka, zlękła się zapewne sztukę podobną płatać nieznajomemu jegomościowi, brutalowi podobno, Bóg wie komu...

Więc Wincusia, mruganiem naszem ku niej i gestami zachęcającemi na duchu wzmocniona, na odwadze do szczytu najwyższego wzbita, mocno stopami oparła się o ziemię, ramieniem, w nożyce zbrojnem, dziwny jakiś gest wykonała i—czach, czach, czach!...

Od dołu aż do pasa cała jedna poła pięknego futra oderznięta, z wierzchem, z watą, z podszewką, ze wszystkiem, co do niej należało. I tylko, gdy futro na wieszadło powróciło, strzępy podszewki i kłaki waty z otwartej jego rany żałośnie się ku dołowi zwieszały...

W różowym pokoju było trochę sprzeczki pomiędzy temi z pomiędzy nas, które działały, a temi, które z miejsc swych się nie ruszyły, trochę wewnętrznych wątpień o godziwości dokonanego czynu, trochę niepokoju w ruchach i zamyślenie na czołach, lecz bardzo wkrótce wygładziło się znowu jezioro. Co tam! Jakoś to będzie! P. Burakiewiczowi stratę poniesioną można zwrócić. Zapłacimy, ile zażąda, i niech sobie inne futro kupi, a teraz mamy baranki! mamy! mamy! A to rzecz najważniejsza. Reszta marność, czczość, przemijalność!

A Czernisia, siedząc przy bocznym stoliku, wierzch i watę od futra odpruwa. Pył, dobywający się z prutych materyi, delikatną mgiełką jej małe oblicze przysłania, aż z za mgiełki dobywa się głos.

— A jednakowoż nie wystarczy!

— Nie wystarczy! I to jeszcze nie wystarczy!...

— Do dwunastu pewno wystarczy, ale do jakich ośmiu—dziesięciu... zabraknie!

Ochłonęłyśmy z żalu. Ośm na sto — odsetek nieduży. Niech już tam! cóż robić? Nie pójdziemy przecie drugiej poły p. Burakiewiczowi ucinać!

Wtem, na drugim końcu domu, kędyś w okolicach przedpokoju, jakieś niewyraźne stuknięcie, chody, i nagle głosy męzkie podniesione, bieganie, krzyki...

Źle. Minuta sądu i kary nadchodzi. Dotąd nie przyszło nam do głowy, że nadejdzie. Trochę dreszczów po plecach przebiega. Ale nic; z nizko pochylonemi nad robotą głowami siedzimy i szyjemy. Wincusia, krojąc kaszmiry nożyczkami, tak zgrzyta, że aż w uszach świdruje, Czernisia porze. Milczenie. I tylko uszy ku stronie przedpokoju nastawione, nasłuchujące, co się tam dzieje. A tam zaczyna dziać się coś okrupnego...

Otwierają się ze stukiem drzwi, Marylka z przestrachem na zaczerwienionej twarzy wpada i z przyśpieszonym oddechem mówi.

— Co to będzie? Co to będzie? Pan na służbę tak gniewa się, że niech Bóg broni... Każe mówić: kto to zrobił, a oni nie wiedzą... a pan myśli, że kłamią, i coraz więcej gniewa się... i Józef aż płacze.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy myśmy już z krzeseł się zerwały. Nie, nie! Na służbę gniewu i wyrzutów niesprawiedliwych ściągać nie można! Nie można, aby przez nas poczciwy Józef płakał. Trzeba iść, wszystko wyznać, pana Burakiewicza przeprosić, ile kompensaty pieniężnej żądać będzie, zapytać!

— Chodźmy!

— Chodźmy!

Więc naprzód winowajczynie, potem, przez solidarność koleżeńską te, które w przestępstwie czynnego udziału nie przyjmowały, za niemi Czernisia, zatroskana, ale i z zaciekawieniem w czarnych oczkach, a na ostatku Marylka—kusicielka, jak kot przestraszony, pod ścianami cichutko się prześlizgująca.

W drodze zaskoczyło nas pytanie: która do p. Burakiewicza pierwsza przemówi? Cóż? Gospodyni domu naturalnie... O, ciężka minuto pokuty i umartwienia! Ale niema co! Mają racyę! Mnie wypada pierwszej głos zabrać przed tym jegomością nieznajomym, wilkiem jakimś—Bóg wie kim!

Oktunia i Stefunia z obu stron szepcą mi przy twarzy.

— Ja z pomocą ci przyjdę!

A za sobą słyszę głosy innych.

— I ja! i ja! i ja! Wszystkie będziemy przyznawały się, przepraszały...

— I płaciły...

Drzwi, z sali jadalnej do przedpokoju prowadzące, na oścież rozwarte, znać po nich wielkie pędy, z jakiemi tu ludzie wbiegali i wybiegali. A dokoła wieszadeł—piekło wre. Panowie i lokaje skupieni, osłupiali, p. Burakiewicz wymachuje rękoma i krzyczy, gospodarz domu na służbę krzyczy, stary Józef czerwoną chustką oczy sobie z łez ociera, kredensowy pomocnik jego cienkim głosem wrzeszczy, że—jak Boga kocha — nie wie, kto to zrobił...

Wejście nasze, takie gremialne, sprawia dywersyę i ten efekt wywołuje, że wszyscy milkną i patrzą, co to za taka procesya niewieścia idzie... A my prosto ku p. Burakiewiczowi zmierzamy i przed nim stajemy, to jest, ja przed nim staję, a towarzyszki moje za mną, jak mur, a za niemi jeszcze Czernisia i Marylka.

Staję, dygam, rękę ku p. Burakiewiczowi wyciągam. W tejże chwili gospodarz domu, wypadkiem zaszłym bardzo rozgniewany i wtargnięciem naszem aż do osłupienia zadziwiony, ulega jednak przyzwyczajeniu, rzec można, nałogowi towarzyskiemu i aktu prezentacyi dokonywa.

— P. Burakiewicz—moja żona...

A p. Burakiewicz twarz ma czerwieńszą jeszcze, niż zwykle, i wśród niej oczy błękitne wprost słupem od zdumienia stoją. Zdaje się, że na widok tych jedenastu niewiast, nie wiedzieć czego przed nim zjawionych, o poniesionej krzywdzie na chwilę zapomniał. Z bardzo niezgrabnym ukłonem ręką czerwoną i szorstką ręki mojej dotyka, a ja mówić zaczynam Cicho mówię, bo coś mi w piersiach

drży i w gardle dławi. Jednak mówię.

— Przyszłyśmy przeprosić pana... bardzo, bardzo pana przepraszamy... bo to my... to jest, głównie ja, właściwie ja..

— Nie, nie, to my wszystkie... odzywają się za mną chórem towarzyszki moje.

— Ja... my... zrobiłyśmy to... ucięłyśmy tę połę...

— Co?—jakby kto z pistoletu wypalił, wyrywa się z ust pana Burakiewicza i widać po nim, że we wściekłość wpadać zaczyna.

— Cóż to? panie dobrodziejki żarty jakieś ze mnie, kpinki, drwinki... niech dyabli porwą...

Na widok tak rozsrożonego nieprzyjaciela, mnie głos zupełnie posłuszeństwa odmawia, ale wysuwa się zza mnie Wincusia i głośno, rezolutnie rzecz przekładać zaczyna.

Mowa jej zwięzła jest, ale treści pełna. Krótko, lecz dobitnie opowiada, co i jak było, i że to ona, ona właśnie, ot, temi nożyczkami połę futra ucięła i teraz nożyczki te tu przyniosła na dowód, (osobliwy, zaprawdę, dowód!) że nikt inny, tylko ona to uczyniła, więc bardzo, bardzo przeprasza ..

DN.

---

Władysław St. Reymont.

# MARZYCIEL.

— Dużo masz czasu? — pytał trochę niespokojnie.

— Czy ja mam dużo czasu! — parsknęła śmiechem. — Ależ będziemy się bawili, dokąd pan tylko zechce! Muszę przecież nieco oporządzić sierotę...

— To masz klucz! Przyjdę dopiero po ekspresie. Spirytus stoi za szafą, maszynka w kominie, a herbata i cukier tam, gdzie zawsze, a może chce ci się jeść?

— I jak! jechałam na glanc bez jednego grdynia. Wie pan, wyleli mnie z pociągu, wsiadł łapacz i bali się brać mnie na gapę. Musiałam czekać na drugi pociąg. Niech pan prędko przychodzi, moje śliczności. Franka tak prosi. .

Wdzięczyła się, ale nagle chwycił ją suchy, ostry kaszel, aż się zaniesła.

— Znowu jesteś zaziębiona! Masz trochę gotówki, kup co na kolacyę.

Wykasłała się i, obcierając oczy, mówiła na pół z płaczem.

— Doktór radził mi wyjechać na parę miesięcy do Zakopanego, powiada, że to z nieporządnego życia. Wesoła małpa, co? I jabym potrafiła wylegiwać się po całych dniach, jak te klempy na stacyach! A może się na mnie zło ą moje facety! — wybuchnęła naraz długim, drwiącym śmiechem.—Dostanę, ale chorobę i bezpłatny przejazd do szpitala—rzuciła ciszej i odeszła.

Józio spojrzał za nią ze współczuciem, zamknął kasę i zabierał się do pisania, ale spostrzegłszy szlachcica na peronie, kiwnął na niego, przyszedł zaraz i chętnie, gdyż i tak całe dnie wałkonił się, przesiadując na stacyi.

— Czy to prawda, co pan klarował o tych anglikach?

— Najprawdziwsza. Macie papierosa? bo zapomniałem swoich w domu. Może się pan przekonać, jeszcze siedzą na sali, czekają na ekspres! A jakże, lord Miętus jeździ tylko ekspresami! Wspominał, że po drodze wstępują do Nizzy na parę tygodni, bo lady Kaśka czuje się nieco zmęczoną naszym dzikim klimatem! Uważa pan dobrodziejski! Ha! ha! ha! — aż się pokładał ze smiechu na ceratowej kanapce.

— To mówił pan z niemi?

— Wczoraj, w cukierni. Oko mam niechybne i poznałem, ich jak tylko weszli. Myślę sobie, korona mi z głowy nie spadnie, jak się przywitam; podchodzę tedy i mówię prosto z mostu: Walek, jak się masz, chłopcze?... Parsknął mi śmiechem w oczy, poklepał po ramieniu i powiada najspokojniej.

— Niezgorzej, ale z tobą, Kaziu, coś ciężko, podobno już wyprzęgłeś!...

— Dziw, że mi się bebechy nie przewróciły, myślałem, że mnie zła krew zaleje, a ten, jakby nigdy nic, przedstawia mnie swojej żonie i podaje krzesło. Cóż miałem robić? Awantura z chamem i w miejscu publicznem! Myślę sobie, dyabli wiedzą, może to takie amerykańskie obyczaje, niech go tam drzwi ścisną. Usiadłem, opowiedział mi swoję historyę, powiadam panu, to przechodzi wszelką imaginacyę! Od robotnika zaczynał, a teraz bogacz, milioner! Po angielsku mówi, jak z nut, po francusku ekspedite, gębę rozdziawiałem, jak cielę na kościelne wrota! Taki Miętus, taki prosty parobek, panie dobrodziejski! A lady Kaśka, powiadam panu, dama, prawdziwa dama! Gęsi, panie tego, u mnie pasała, a omal nie pocałowałem jej w rękę! Poszliśmy na kolacyę, postawił białego, postawiłem i ja po staremu jednę i drugą kapkę, trudno, bydło u mnie pasał, ale ja, panie tego, z postępem ..

Józio uśmiechnął się jakoś dziwnie, szlachcic naraz zrobił srogą minę, wziął z pudełka garść papierosów i rzekł z głęboką, szczerą goryczą.

— Ale za tę konfidencyę srogo zapłaciłem! Wyobraź pan sobie, co mi ten cham zaproponował, gdyśmy już nieco podchmielili.

Józio podniósł na niego zaciekawione oczy.

— A to, ni mniej—ni więcej, tylko że mi daje posadę u siebie, w Ameryce! Posadę dyrektora stajni! Powiada, szlachta polska zna się na koniach! Uważa pan! Ja dyrektorem stajni jaśnie wielmożnego Miętusa, ja!...

Józio zaczął się śmiać.

Szlachcic zerwał się z kanapki, ujął go za klapę i wzburzony zakrzyczał.

— Pan jesteś Józef Pełka, syn pana Ambrożego Pełki z Wolicy?

— No, tak, a w dodatku pomocnik kasyera i parob kolejowy... — ironizował.

— Więc pytam się, coby pan odpowiedział takiemu chamowi, co?..

— Pocałowałbym go w rękę i błagał, żeby mnie wziął choćby za pastucha... Byle tylko pojechać daleko, jaknajdalej i jaknajprędzej!— wybuchnął niespodzianie.

Szlachcic poczerwieniał, nabrał nową garść papierosów i, otwierając drzwi, rzekł, ledwie już dysząc z wściekłości.

— To pocałuj że go pan w nos! Tfy, z taką szlachtą!

Ale Józio nie słyszał, ni nawet zauważył jego wyjścia, ogarnięty nagle zbudzoną tęsknicą ucieczki, gdzieś, w świat szeroki. . Siedział nad papierami, jak martwy, patrzył w mrok rozdrgany, opadający śniegiem, i olśnioną duszą unosił się na skrzydłach tęsknoty, leciał cichemi miotami błyskawic coraz dalej, na wszystkie lądy, na wszystkie morza, w nieskończoność!

— Jesteś! Znowu jesteś!—jęknął naraz, zrywając się jakby do do ucieczki, zakręcił się po pokoju, bezwiednie ubrał się w palto, włożył czapkę i padł na kanapę, zmożony bolesną męką marzenia.

Pociągi przelatywały z hukiem, aż dygotały ściany i brzęczały okna, mrok wsączał się do pokoju, mrok szary, posępny i przejmujący zimnem, a Józio wciąż leżał, marząc bezładnie o krajach dalekich, o morzach, nieobjętych wzrokiem, o miastach wspaniałych i cudach niewypowiedzianych:

— Wyszedł ekspres! — zbudził go jakiś głos i trzask zamykanych drzwi.

Z największą przykrością znowu otworzył kasę i, jak zwykle, wyjrzał na olbrzymią halę. Była najzupełniej pusta, tylko przed wagą piętrzył się stos czarnych, płaskich skrzynek, okutych mosiądzem na kantach.

— Dokąd idą? — rzucił wagowemu.

— Jeszcze niewiadomo. Ale to jakieś zamorskie, pewnie z Ameryki.

Wyszedł, aby się im zblizka przyjrzeć, i z jakiemś dziwnem wzruszeniem odczytywał na nich nazwy miast dalekich.

— New - York! Vancouver, Hong-Hong! To kufry okrętowe, przejechały z pół świata!—tłumaczył wagowemu.— Idą na sam spód i muszą być ściśle upakowane, żeby się w drodze nie przesuwały. Vancouver—Hong-Hong!—powtarzał z czułością jakby te wyśnione, czarodziejskie słowa.

— Kobé! Hong-Hong!—myślał, powróciwszy na swoje miejsce przed kasowe okienko, i poił się samym dźwiękiem nazw, i kołysał w rozmarzeniu, gdy wysunęły się ku niemu jakieś nieznane ręce w szarych rękawiczkach i za szybami zamajaczyła twarda, wygolona twarz amerykanina. Podawał bilety do stęplowania, żądając przytem jakiejś informacyi.

Józio bardzo uprzejmie odpowiedział mu po angielsku.

— Jestem polak, nie potrzebuje pan sobie wykręcać języka!—przerwał mu szorstko.

Na szczęście, wagowy zawołał bocznem okienkiem.

— Nizza! Sześć miejsc! Dziewięćset pięćdziesiąt ośm!

DCN.

---

Zygmunt Bartkiewicz.

# 63.

Konie, ludzie, mundury, żar, głód, zimno, zatopione armaty, pan jenerał Skrzynecki, później Arad, Temeszwar, jenerał Dembiński, krzyż od Koszuta, pod Widdyniem obóz, a potem Sylistrya...

— Piękne miasteczko... Hej, twardy ten Sewastopol był, bo twardy, ale takiśmy Małachowę udarli. A co to luda tam było: i gnaciate Angliki, chybkie Francuzy, niepojęte Turki, — ale wszystko miętkie na śmierć, choć i twardych chłopów nie brakło. Dwa Pypcie, ociec i syn, Niełaj z Nowego, Nowakowski ze Sącza, kowal z Wiślicy... A kapitan, jaki ci to był sierdzisty...

I zaśmiał się chłop, jakiś figiel żołnierski na myśl mu przyszedł.

Rwie się myśl stara, i pamięć zawodzi, ale powoli kształtują się wspomnienia, łączą w obrazy; stary czapę na ucho przesunął i już głośno gada:

— A Olszyna! Pan z panów, Chłopicki, dumny pan, niełaskawy, ale umiał zagadać, jak potrza mu było. Grochów—Warszawa. Armaty dzień i noc grały, a bab, dziewuch na wałach, a picia, a jadła, jak w zapust. Strach ino obleciał, jak zblizka kartaczami plunęli od Woli, a jak się wdarli, oj, żałość, żałość, chleb, sól nieśli, a człeka nie było, coby oczy miał suche.

I panom było mdło w sercu, oj, mdło. Dużo ich legło, a krew pańska, czy chłopska, opłakana zawsze, przecie krew polska. Jak ziemia. A ino.

— Niby z dziegciem, juchy, ciągną niezdarnie...

Oczy niechętnie od drogi odwrócił i szepnął po chwili:

— A jakby na przełaj chybki kto skinął, a boru-by dopadł... Zabieżeliby drogę?

Rozejrzał się po szerokiej płaszczyźnie, przestrzeń do sinego pasa zmierzył.

— Zabieżeli, albo i nie... Jakby tak za rzeką sunął, dołkiem, bagienko ominął, trza wiedzieć — jak, i brzeziny dopadł, to już Boża wola, i hej!

Błysnęły oczy staremu, potem ramionami wzruszył.

— Ale ktoby zaś tam biegał do lasu, i po co, kiej sprawiedliwie im tak...

Ale znów zwróciły się siwe źrenice ku wodzie.

Nie doniesie... a choćby, to zdołuje napewno. Niechbym ino młodym był, dziur po skórze miał mniej, a krzywdy w sercu nie nosił, toć swoi przecie... W jednym szeregu się szło, a jak kartacze lukę wyżarły, szlusował chłop z panem, jedna im zagłada... Laboga, jak to złość człeka zamroczy, — laboga, Grzybowski!

Nagle kopnął się stary, i pochylony sadził, rzeczki już dobiegł, za krzakami skrył się, aż na łąkę wypadł, czerwonemi portkami błysnął.

— A u—uuu! — wrzask jęknął

od drogi, zakotłowało się w przedniej straży, zamigotały żywo złotoczerwone końskie kadłuby, a z szarej kupy kozackiej smugi dymu wybiegły; rozległ się klekot janczarek, i schyleni jeźdźcy pognali. Kwicząc, okładając szkapy nahajem, parli chłopu na ukos.

— Zgonią, nie zgonią? Laboga!

Ze stromych rzeczki brzegów, jeden i drugi z koniem się stoczył, srebrzyste bryzgi wody strzeliły wysoko, jeźdźców nie widać, jakby w nurty zapadli.

Wtedy z pierwszej szóstki prostokątu piechoty wytrysły podłużne, białe smugi, nim w górę się wzniosły, grzechot się rozległ, a po nim sześć smug znowu, i sześć...

— Nie doniesie... Nie, nie! — i już bagienko, i chwila—a las—i—grzechot pół roty.

— Nie donie—sie... Donie...

Chłop zwinął się jakoś, do ziemi przypadł i pełzł, jak ranny zwierz, szukający schronienia.

— A—uu jewo—Au—ho, ho!

Dwóch, trzech, czterech za nim, i jeden, sadzą przez grzązką łąkę. Chrapiące szkapy przodami wynoszą się, rwą zady z bagnistej uwięzi. Nad niemi w rozwianiu grzyw, jakby do skoku, pochylone ciała, ziejące usta, rozwarte nozdrza.

— Ej, pan! Nie ujdiosz!

Chłop mchów pełną garścią ciśnie krwawiącą ranę i na nogi się dźwiga.

— Do zagajów aby...

Ubiegł pół staja i padł. Jeszcze wysiłek,—już chłód lasu w upał głowy uderzył...

— Koniec ci, głupi Grzybowski...

I na rękach się wsparł, siwemi oczami w dzikie, radością wykrzywione twarze patrzy.

Opodal stoczyli się z koni, runęli kupą. Jękło z pod kolan kozackich, wraz ręce na krzyż, i w łyko, arkan na szyję.

— Nu—u!

— Nie zdołam — chłop głową ranę wskazał. Splunął kozacki namiestnik.

— Ej, Fiodor, za wodoj!

Stary, ryżobrody pochylił się nad rannym i kosmatemi, zwierzęcemi łapami kość zbadał, czy cała, potem z wysokiego kaszkietu wodą obmył ranę starannie i nożykiem w niej drążył, aż kulę z mięśni uda wygrzebał, a potem w czarny, bluzgający krwią otwór wcisnął szmatę spaloną i zalał gorzałką.

— Nu,—maładiec!

Twardy chłop był Grzybowski, dźwignął się, westchnął głęboko i poszedł między końmi, z arkanem na szyi. A choć na nogę mocno utykał, bo gorącość od niej aż do łba mu biegła, mroczyła, rozrzewniony był stary.

— Kozak—zła krew, a przecie ludzki...

Nie zepsuło go życie.

* * *

U samego traktu, opodal rozsypanych na wzgórzu chat chłopskich, z kępy drzew ciemnych jasnemi ścianami wyzierał dworek szlachecki. Szpaler, smukłe topole, wyrwane wrota, kamienny posąg Matki Boskiej, i wkoło jasny pas szerokiego zajazdu. W ogrodzeniu zabudowań bez liku: podłużne budynki pod strzechą, jak łąka, porosłą, obok śpichrze, śpicherki, lamusy, schowanka, stare, zbutwiałe, pół rozwalone, lecz stoją. Szara, jak stary koń, łęgowata stodoła, dwie sterty, i parów, porosły olszyną. W nim krzyż pochylony, jakby o dawnych dziejach z szemrzącą strugą rozmawia, dalej pole równe, dalekie, łąki, oparami zamglone, smugą lasu przecięte.

A dworek, jak dworek, do tysiąca innych podobny. Każdy go zna i pamięta, bo czyż jest takie biedne życie na świecie, bez jednego wspomnienia o dniach pogodnego spokoju, czy młodych uczuć, gorących, tam, w majowym zmroku poczętych. Jasne ściany — jasne wspomnienia. Gdy w mrocznej myśli się zjawią, uśmiechem szczerej prostoty zabłysną, kto ich nie błogosławił, ale i przeklął za to niejeden, że go rozumieć ludzką niedolę, czuć, wierzyć i kochać wśród nich nauczono.

Bo za nic życie tak okrutnie nie karze, jak za miękkie uczucia, wypieszczone przez matkę, wody, brzozy szumiące, lasy i łąki.

Późno o tem dowiedzieli się starzy dworku dziedzice. On, dawny żołnierz, ostatnie nadzieje na wałach Warszawy pogrzebał; tam wiarę w najdroższe sercu odrodzenie rycerskiej chwały narodu utracił, a gdy żal do swoich, miłość w nim strawił, wtedy w myślach coś zgasło. Pół-zadumy, pół-obłąkania mrok przyszedł, i martwa cisza duszę zaległa, aż pewnego wieczoru stary pan, rynsztunek wojenny z zapomnianej, jak się wszystkim zdawało, kryjówki wydobył i na siebie wdział.

— Do Pana Boga — mówił — idę; z nim porachunek, bo mnie za wierną służbę oszukał.

Późno w noc jeszcze bluźnił i klął takiemi słowami, że dziw, zkąd w myślach pobożnego kolatora się wzięły, a gdy nad ranem śmiertelna ciemność ostatnie błyski umysłu zasnuła, zmarł stary z szabliskiem w garści. Przedtem wszystkim przebaczył, zdrajcom winy darował, nawet moskalom; z Bogem tylko się nie chciał pogodzić i krzyżową sztuką natarł na księdza, gdy ze świętemi Olejami się zjawił.

— Widno dźwigał się stary i krew padła na mózg.. — mówili we dworze, a nieswojo było każdemu, że bogobojny pan tak przykro żywot zakończył.

Pszenica ozłociła się właśnie, ale gdy pochyliły się kłosy, zaśmiał lud do łanów ściemniałych i zbierali żeńcy, nagle żałość wszystkie serca zaległa. Jejmość—pani, kochana, umarła we dworze! Odeszła cicho z Bogiem, a bez żalu do ludzi, bo są takie serca bez złości, które nie wdzięczność, lecz krzywda w słodkiej dobroci umacnia.

Jednę tylko pani miała w sercu zawziętość, jednę tylko pomstę w myślach nosiła, pomstę — spuściznę, z ostatniem tchnieniem sercu oddaną:

— Ten wróg tylko, co wydarł ziemię ojczystą krwią oblał groby, w kościele mordował... Do łzy ostatniej, do ostatniego jęku mścić, walczyć — tak wam Panie Boże dopomóż...—słabnącym głosem pani mówiła, a człek stary, bliski, żegnał umierającą, od złej myśli bronił, i dziwno mu było słyszeć słowa zawzięte z ust tych, co od lat tylko modlitwą i westchnieniem drżały.

— Miłujcie nieprzyjacioły wasze...—szeptał, ale zbladły i słaby był każdy wyraz biblijny wobec mocy tego żalu, co kostniał w zaciętość na twarzy półmartwej.

Odeszła cicha bohaterka—polska matrona, jedna z tych, którym, zda się, wszystkie cnoty były dane, wszystkie ducha wdzięki. Do kądzieli je sposobiono, a choć słodka uległość stała się ich krasą, pod czas nieobcemi im były i lemiesz, i miecz.

I jak te cenne rodowe klejnoty, co idą z pokolenia na pokolenie puścizną, a wartość ich rośnie, tak z pamięci w pamięć przechodzą, dziś już niedosięgłej chwały blaskiem promienne, rycerskich polek nazwiska: Chrzanowska, Zarębina, Platerówna, Słucka, Kobyłecka, Wołkowa—polskich dworów chwała, narodu najdroższe pamiątki.

DCN.

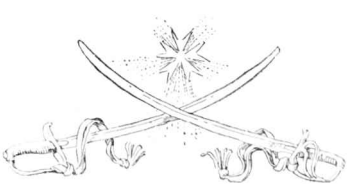

Stefan Krzywoszewski.

# PRZYWÓDCA.

Akt II. Dramat w 3-ch aktach.

WŁADYSŁAW (*do Maryi*). Nie uważałaś, jakiemi oczami patrzy na nią Łomęcki?

MARYA (*żywo*). Tego doprawdy nie uważałam. Łomęcki ma co innego w głowie, niż flirty z panienkami.

WŁADYSŁAW (*kontynuuje swoje myśl*). Dlaczego flirty! Czy sądzisz, że Łomęcki nie byłby zdolny zakochać się?

MARYA (*jeszcze silniej obruszona*). Dziwię ci się, że, znając go, możesz mówić takie rzeczy! On w tej chwili z pewnością o niczem mniej nie myśli... Ma inne posłannictwa, inne zadania...

WŁADYSŁAW (*j. w.*). Posłannictwo— posłannictwem... Ja także nie żyję tylko dla własnego, osobistego szczęścia, a przecież... (*do Ludki wesoło*). Ludka, mam przeczucie, że ty już nie wrócisz do swoich książąt...

LUDKA (*filuternie*) Chyba mi znajdziesz jakie inne, lepsze miejsce... Może w tej *wiszej* przyszłej rzeczypospolitej...

WŁADYSŁAW. Ludwika Łomęcka. To nawet bardzo dobrze brzmi.

MARYA (*wstaje gwałtownie*). Te żarty są poprostu niesmaczne.

WŁADYSŁAW (*patrzy na nią ze zdziwieniem*). Dlaczegoż się tak gniewasz? Czy cię obraziłem?

MARYA. Słuchać, jak powtarzasz w kółko ciągle to samo głupstwo...

WŁADYSŁAW. (*złośliwy persiflaż*). Czyżby uczucie zazdrości nie było ci niedostępnem.

MARYA (*wyniośle*). Co to ma znaczyć?

WŁADYSŁAW (*silii się na ton żartobliwy*). Przypuszczenie, że Łomęcki może się kochać w kim innym, sprawia ci taką przykrość?...

MARYA (*lekko zmieszana*). Śmieszny jesteś. Bronię Łomęckiego, bo... on ma ważniejsze sprawy.. Nie można tak lekceważyć ludzi, którzy na lekceważenie nie zasługują... Dlatego uniosłam się, bo wasze dowcipy...

LUDKA (*przerywa łagodnie*). Przepraszam cię, bo tylko Władzio żartował.

MARYA (*zapala się trochę sztucznie*). Lada godzina, lada minuta rozpocznie się ostateczna walka.. Wszystkie myśli, wszystkie usiłowania zespolone w jednym kierunku... I w takim momencie miałby Łomęcki... powiem ci szczerze: w tych żartach nawet odbija się twój charakter... (*pogardliwie*). Jesteś mały człowiek!

WŁADYSŁAW (*zjadliwie*). Tobie dużym wydaje się tylko Łomęcki. Uosobienie wszystkich cnót i zalet.

LUDKA (*z wyrzutem do Władysława*). Dlaczego odzywasz się o nim z szyderstwem? On ci jest tak życzliwy!

WŁADYSŁAW (*porywczo*). Nie potrzebujemy jego protekcyjnej życzliwości ani wyrozumiałej pobłażliwości! (*do Maryi*). Ty nie jesteś w stanie zrozumieć, że nie można tak na każdym kroku... ciągle tylko upokarzać, wytykać niższość... To nie jest życie, to jest męka!

MARYA (*pogardliwie do Ludki*). Co jemu się stało?

WŁADYSŁAW. To jest prawdziwa męka.. (*chwyta kapelusz*). Do widzenia (*szybko wychodzi*).

*Scena 2.*

*Maryi, Ludka.*

MARYA (*udaje, że została niesłusznie obrażona*). Czy ty rozumiesz? Bo ja nie.

LUDKA. On cię kocha więcej, niż myślisz... kocha cię i boli go, że nie uznajesz jego wartości. A on właśnie przez ciebie przedewszystkiem chciałby być uznany. Jest ambitny, ambicya go dręczy nieustannie. Kocha cię.

MARYA (*j. w.*). Jakaś chorobliwa obsesya... mania prześladowcza... Ja także mam już dosyć tych scen...

LUDKA (*łagodnie*). Wy powinniście być tacy szczęśliwi... dwoje ludzi, złączonych miłością... Jak on odczuwa każdy twój gest, każde twoje spojrzenie każde twoje słowo. Ja nawet nie przypuszczałam, że on jest zdolny do takiego uczucia...

MARYA (*niecierpliwie*). Ach, moja droga, ja nie jestem bohaterką z romansu francuskiego... (*nasłuchuje*). Ktoś idzie...

LUDKA. Pan Kazimierz... Poznaję jego chód...

MARYA (*mierzy ją podejrzliwem spojrzeniem*). Tak!... Poznajesz?..

LUDKA (*żywo*). Cóż w tem dziwnego! On nawet chodzi inaczej, niż zwykli ludzie.

*Scena 3.*

*Maryi, Ludka, Kazimierz, (chwilami) służąca.*

(*Kazimierz ubrany nieco staranniej, niż w pierwszym akcie, świeżo ogolony*).

KAZIMIERZ. Dobry wieczór paniom... (*powitania*).

LUDKA. Dobry wieczór.

KAZIMIERZ. Przepraszam bardzo... Pan Władysław tak nalegał... Inaczej nigdy nie śmiałbym panie narazić na tyle kłopotu...

MARYA. Nie warto nawet mówić...

LUDKA (*wesoło*). Za karę dostanie pan tylko talerz rosołu i pieczeń z kartoflami. Zaraz powiem... (*wychodzi na lewo*).

KAZIMIERZ. Pani taka dobra (*siada przy stole*). Jestem trochę znużony...

MARYA. Cóż słychać? Niech pan mówi... (*Ludka wraca z talerzem rosołu, który stawia przed Kazimierzem*).

KAZIMIERZ (*do Maryi*). Jutro prawdopodobnie fabryki staną. Więcej, niż prawdopodobnie... (*Ludka stawia przed nim talerz z rosołem*). Dziękuję bardzo.

LUDKA (*z obawą*). Jutro?

MARYA (*z posępną radością*). Nareszcie!

KAZIMIERZ. Teraz ostatnie odwiedziny w dyrekcyi. Delegaci stawiają nasze *aut aut*. Jaki będzie wynik, nie można nawet wątpić... (*kraje chleb*). Prosiłem, żeby tu przyszli!.. (*do Maryi*). Pani wybaczy?... Zdaje mi się, że przy mojem mieszkaniu są nieproszeni aniołowie-stróże... I już nie miałem siły wracać do domu..:

MARYA Ależ naturalnie! Czy pan tu nie jest u siebie?

KAZIMIERZ (*je*). Pani pojmuje, że jestem nieco zdenerwowany. Za chwilę los będzie rzucony. Chwili tej oczekiwaliśmy, przygotowywaliśmy się do niej, a jednak... teraz wydaje mi się taką nagłą... prawie niespodziewaną...

LUDKA (*zamyślona*). Tyle cierpień!... Tyle nieszczęścia!...

MARYA. Może pan śmiało być najlepszej myśli. Nastrój jest wogóle doskonały. Nasza praca nie poszła na marne... Jak oni nienawidzą tych... (*odwraca wzrok w stronę okien*) wyzyskiwaczy! To już bucha z nich spon-

tanicznie, żywiołowo! Dłużej byłoby niebezpiecznie wytrzymać...

KAZIMIERZ. Ja się też obawiam ostrzejszych zajść... żeby nie było zaburzeń...

MARYA (*porywczo*). A gdyby nawet! Gdzie drwa rąbią...

LUDKA. Maniu! ty czasem mnie przerażasz!

KAZIMIERZ (*do Ludki, smutniej*). Trudno, proszę pani (*do Maryi*). Musimy przecież pamiętać, że choć tylko siła zwycięża, musi tkwić w niej pierwiastek moralny.

LUDKA. Musi! (*służąca wnosi półmisek z mięsem, Ludka kraje i nakłada Kazimierzowi; służąca wychodzi*).

KAZIMIERZ (*odsuwa talerz z rosołem—do Maryi*). Na panią tam zapewne czekają...

MARYA. Wiem... (*słowa Władysława o tem, że Ludka podoba się Kazimierzowi, podziałały i nie ma ochoty zostawić ich samych, choć się z tem kryje*). Czy trzeba koniecznie iść?

KAZIMIERZ (*lekko zdziwiony*). Liczą na panią... Miała pani zagaić zebranie...

MARYA. Tak! (*idzie do stolika i kładzie kapelusz*). Mówiąc szczerze, wolałabym dziś zostać...

KAZIMIERZ. Może pani nie czuje się dobrze?

MARYA. Nie... nie...

LUDKA. Już ja dopilnuję, żeby pan Kazimierz zjadł i wypoczął.

MARYA (*po krótkiem wahaniu udaje, że żartuje*). A... czy to wypada, żebym państwa tak zostawiła... samych?

KAZIMIERZ (*nie rozumie*). Jakto?

LUDKA (*tak samo*). Samych?

MARYA (*sztucznie*). Młoda panna... Młody człowiek...

KAZIMIERZ (*zaczyna jeść spokojnie*). Pani żartuje.

MARYA. I może zapóźno? Zapomniałam, że właściwa godzina...

KAZIMIERZ (*j. w.*) Oni z pewnością będą czekać.

MARYA. Tak... Więc do widzenia... (*wychodzi ociągliwie*). To długo nie potrwa.

DCN.

---

Robert Hichens.

# OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

Doleciało dalekie brzęczenie drumli i przenikliwe dźwięki nosowego głosu. A po nadtem, niby akompaniament orkiestry, szedł gwar licznych głosów, dalekie wołania robotników w ogrodach palmowych, głosy kobiet przy studniach i hałasy dziecięce, piskliwe tony fujarek powracających pasterzy, słodki szczebiot ptaków, tęskne naszczekiwanie psów i wołania poganiaczów wielbłądów.

Karawana, którą Domini widziała wstępującą w gardziel wąwozu, ukazała się znowu, dążąc po trakcie pustyni ku południowi. Śród palm wystrzeliły mury wieży. Krążyły dokoła niej gołębie. Niektóre z nich były białe. Wyglądały w locie, jak przedmioty z kości słoniowej, zawieszone nad tą wieżą z płonącego bronzu, stojącej na różanej skale. Z lewej strony piętrzyły się złomy krwawo czerwonych kamieni i płaty purpurowej ziemi. Lśniło to w promieniach słońca, jak jeden olbrzymi klejnot.

Dominika wychyliła się przez okno. Na skałach, na ziemi błyszczały, niby dyamenty drobniutkie, kryształki soli; palmy chwiały się nad wodami; różaność i płowość pagórków, krwistość i ognistość ziemi, skąpanej w promieniach słońca, przesuwały się przed mknącym pociągiem, jak dziwna nieznana procesya, przy dźwiękach ukrytych drumli, nabożnych wołaniach niewidzialnych kapłanów i całym szmerze melodyi tego dziwnego nieznanego życia. Łzy stanęły jej w oczach. To nagłe wstąpienie w krainę blasku i barw poprzez wązkie groźne odrzwia wąwozu było wstrząśnieniem ponad jej obecne siły. Chwała tego świata padła jej na serce i stłoczyła je. Uścisk przyrody był tak potężny, iż niemal zgniótł ją. Zdało się jej, iż jest drobną muszką, która marzyła o tem, by dolecieć do słońca, a w odległości całych jeszcze milionów mil od niego już się cała skurczyła od żaru. Rada była gdy bladły i znikały odgłosy wioski, a jednak łowiła uchem cichnące ich echa. Naraz uczuła się tak zmęczoną, iż każde doznane wrażenie trudziło ją, jak wysiłek fizyczny trudzi wyczerpanego człowieka. Usiadła i zamknęła oczy. Została tak długo, lecz czuła, że tam, po za oknami, płoną dziwne światła i że wagon powoli napełnia się cały blaskiem zachodu. Często później myślała o tem, czy ów zachód słońca był rzeczywiście tak niezwykle wspaniały, czy tylko widziała go takim po przez wielkie swoje znużenie.

Szelest poruszenia kazał jej się obejrzeć Towarzysz jej zmieniał miejsce i przechodził na drugą stronę przedziału. Stąpał po cichu, oczywiście, z chęcią nie niepokojenia Domini. Był przez chwilę zwrócony do niej plecami i zauważyła, iż był silnej budowy, aczkolwiek smukły, i iż chód jego był ciężki. To znowu skierowało jej myśli na jego spracowane ręce — i poczęła rozmyślać leniwie, jakiego jest stanu i czem się może trudnić. Siadł w odległym kącie po tej samej, co ona, stronie i wyglądał przez okno, skrzyżowawszy nogi. Miał duże buty z kwadratowemi nosami, niezgrabne i niemodne, lecz wygodne i doskonałe do chodzenia. Ubranie miał zrobione niewątpliwie przez krawca francuza. Materyał na ubraniu był szary i włochaty — i było ono obcisślejsze, niż te, które robią krawcy angielscy. Miał czarny jedwabny krawat, a na głowie miękki bronzowy kapelusz, zgięty po środku. Ze sposobu, w jaki patrzał przez okno, Domini wywnioskowała, iż on także po raz pierwszy ogląda pustynię. Było coś prawie namiętnie bacznego w jego postawie, coś z pasyi natężonej w tej części twarzy, która była widzialną z miejsca, gdzie siedziała Domini. Policzki jego nie były blade, jak to się na razie wydało, lecz bronzowe, widocznie spalone słońcem afrykańskiem. Czuła jednak, że pod tą spalenizną kryła się bladość. Pomyślała, iż był — być może — malarzem i notował wszystkie niezwykłe efekty barw ze skupieniem tych ludzi, którzy pragną je przenieść na płótno.

Światło, które miało teraz szczególną, prawie nadprzyrodzoną miękkość i przezroczystość światła, padającego pod wieczór od słońca zachodzącego w krajach gorących, spłynęło całym blaskiem na niego i oświetliło mu włosy. Domini

spostrzegła, iż były one ciemnorude z odcieniem kasztanowatym, gęste i nadzwyczaj krótko ostrzyżone, jak gdyby głowa jego niedawno była świeżo ogolona. Była przekonana, iż nie był francuzem. Mógł być austryakiem, lub może polakiem czy rosyaninem z południa gdzieś Rosyi. Pozostawał bez ruchu w tej że postawie głębokiej uwagi i skupienia. Świadczyło to o wielkiej mocy nietylko ciała, lecz i ducha, o nadnormalnym prawie skupieniu na rzeczy obserwowanej. Był to człowiek, który był zdolny zamknąć oczy na cały świat, patrząc na ziarnko piasku, gdyby je uznał za piękne i ciekawe.

Byli już teraz blizko Beni-Mora. Ukazały się dalekie palmy jego, a pośrodku nich śnieżno-biała wieża. Sahara leżała za i wokół niej, roztaczając się od stóp nizkich brunatnych pagórków, które wydłądały, jak gdyby były pokryte miękkim proszkiem bronzowym. Łańcuch zaróżowionych gór rozciągał się ku południowi. Słońce było już bardzo blizkie spadku. Małe, czerwone chmurki płynęły w zachodniej dzielnicy nieba, i odległa pustynia stawała się tajemniczo mroczną i niebieską, jak morze oddalone. Tu i owdzie podnosiły się z niej lekkie wianuszki dymu, i światła w nich połyskiwały, jak jakieś ziemskie gwiazdy.

Domini nigdy przedtem nie rozumiała, jak dziwnie, jak czynnie może się w jednej chwili narzucić kolor wyobraźni. W tych wspaniałościach Wschodu ujrzała wstającą nagą duszę Afryki; nie mdłą i grzeczną, pełną trwogi, by nie była widzianą, pełną trwogi, by nie była poznaną i zrozumianą; lecz zjaw życiowy, krzepki i jarzący, jak dźwięk trąby, grającej wielką pobudkę. Na widok tego kraju, który leżał przed nią, beztrwożnie nagi, wzgardziwszy ubraniem traw, roślin i kwiatów, drzew i strumieni, jawiący się z bezwstydną prawie niefrasobliwością, zaufany w swej mocy przestrzennej i w swej dumie złotej, serce jej uderzyło naraz jakby w odzewie na wołanie stanowcze. Zmęczenie jej pierzchło precz. Odezwała się na tę pobudkę, jak młody żołnierz, który, skoro ze snu zbudzony, wyciąga rękę do miecza. Słońce zachodnie gorzało na jej jasnych, białych policzkach, dając im barwę życia. I dusza jej rozgorzała, by iść naprzeciw niemu. W potężnych przestworach Sahary, zdało się, że słyszy kroki stóp Wolności, idącej na przełaj — ku południowi. I wszystkie jej mroczne zwikłania, wszystkie przeciwności nudy, wszystkie zagadnienia rozwiały się na rączym wietrze pustyni — w bezmiar jej równin. Z ostatniej swojej spowiedzi wróciła pytając się: „Czem jestem?“ Czuła się nieskończenie małą w licu z małością współczesnego, oświeconego życia, w ciasnym, stłoczonym świecie. Obecnie nie męczyła się już więcej zagadnieniami, wiedziała bowiem, iż coś wielkiego, coś cudnego, coś równie być może dostojnego wstało w niej razem, by witać wszystką tę dostojność, wszystką mocną otwartość i wartkość, nieskrępowaną świeżość przyrody. Słońce to i ta pustynia — to jej towarzysze, i lęku nie czuła przed niemi.

Bezwiednie całkiem wyłoniła z siebie wielkie westchnienie, czując potrzebę ulżenia radości ducha, pozwolenia ciału, aczkolwiek może nie na miejscu i nie rozważnie, na jakieś okazanie w odpowiedzi na tajemnicze zbudzenie duszy. Podróżny w dalekim kącie wagonu obrócił się i spojrzał na nią. Gdy ruch ten usłyszała, Domini stanął w myślach gniew jej na niego w El-Akbara. W obecnej wzniosłej chwili uczucie to wydało się jej tak błahem i nędznem, iż powzięła żywą chęć uczynienia poprawy za zły wzrok, jaki była ku niemu rzuciła. Być może, gdyby była całkiem normalną, stłumiła by tę pobudkę. Posłuchała by głosu zwykłości. Lecz Domini była zdolną do czynów mocnych i całkiem bez rachuby, kiedy była poruszoną. A obecnie była głęboko poruszona i rwała się, by oznajmić swą łączność ludzką, współczucie i zapał, które w niej były żywe. Na ruch cudzoziemca obróciła się ku niemu, otwierając usta, by przemówić do niego. Nie wiedziała nigdy potem, co miała zamiar powiedzieć, i czy to, co miała powiedzieć, miało być po, francuzku czy po angielsku. Bowiem nie przemówiła.

Lico jego oświetlało słońce zachodu, gdy siedział pół obrócony na swem miejscu, wspierając się prawą dłonią o poduszki siedzenia. Blask spływał po jego krótkich włosach. Zsunął w tył głowy miękki kapelusz i odsłonił wysokie swe chmurne czoło, a lewą ręką brązową uchwycił się górnej krawędzi drzwi. Była to ręka gwałtowna. Oczy Domini padły na tę rękę, gdy się odwróciła. Chęć mówienia poczęła w niej pierzchać, a gdy spojrzała na jego lico, całkiem odpadła. Pomimo bowiem gloryi zachodzącego słońca na niem, zdało się, że w oczach jego dostrzega zimne cienie. Nikłe linie koło ust jego wyglądały głębiej, niż przedtem, i znowu narzucały wszechmożnie myśli o znękaniu, o ostrości przewlekłego cierpienia. Same usta były zaciśnięte i ponure, i cały wyraz człeka był groźny i wstrząsający, jak wyraz przestępcy, który sili się, idąc ku niezawodnej sprawiedliwości. Tak surową zaprawdę i przeszywającą była ta maska, patrząca na nią, iż Domini drgnęła pod dreszczem przerażenia. Przez chwilę oczy jego zbiegły się z jej oczyma i zdało się jej, że ujrzała w nich bezgraniczną otchłań nieszczęścia czy zła. Nie wiedziała, jednego — czy drugiego. Smutek był w nich, jak zbrodnia, i zbrodnia, jak całkowite i żałosne opuszczenie nieszczęścia. Pomyślała o otchłaniach ciemności, o których mowa w Biblii. Stanęły one przed nią w tym słońca zachodzie. Rzecz ta była tak żywa i spłynęła tak szybko, jak widmo w mózgu szaleńca.

Domini spuściła oczy. Zamarło w niej wszystko szczęście, wszystko poczucie rojonej wolności, barwy, ogromu życia. Była to bowiem czarna plama na słońcu — ludzkości, omyłka Boga w wielkiem dziele stworzenia. I mrok, który szedł od ludzkości, umiarkowywał, a nawet zwyciężał pewnie światło. Pytała się, czy zawsze będzie czuła chłód miejsc bez słońca śród złotych obszarów słońca.

Mężczyzna też spuścił oczy. Ręka jego opadła na kolana. Tak pozostał bez ruchu, aż póki pociąg nie wpadł na stacyę w Beni-Mora — i poważne twarze Arabów bez liku nie wyjrzały ku nim ze spalonego słońcem placu musztry, gdzie w zmroku nastającym ćwiczyli się spahowie.

DCN.

Druk Tow. S. Orgelbranda Synów w Warszawie. Redaktor: JÓZEF JANKOWSKI.
Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Zyblikiewicza, № 8.